

Michał Czajkowski

Łokietka 17

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 13, 181-182

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ks. Michał Czajkowski*

Łokietka 17

Jeśli mojemu wspomnieniu daję taki „adresowy” tytuł, jeśli ten adres po tylu latach zachowuję w pamięci i sercu, to znaczy, iż trzyletni (1950-1953) pobyt w Niższym Seminarium Duchownym w Gorzowie Wielkopolskim, właśnie pod tym adresem, był ważnym etapem mojego życia. Mieszkaliśmy z rodzicami i licznym rodzeństwem w Świdwinie, gdzie byłem ministrantem (dziś szczerę się honorowym obywatelstwem tego grodu), na terenie ówczesnej administratury apostolskiej gorzowskiej, kamieńskiej i prałatury pilskiej, jeśli dobrze tę długą nazwę zapamiętałem. Niższe seminaria były w Słupsku i Wschowie; wybrałem (albo mój proboszcz ks. Michał Polulak wybrał dla mnie) to drugie, gdzie była tylko jedna (ósma) klasa, tak więc po roku przenieśliśmy się (do klasy dziewiątej) do Gorzowa Wlkp. Tam w roku 1953 zdałem maturę – oczywiście prywatną, nie uznawaną przez państwo, tak iż przed magisterium na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w roku 1960 musiałem zdać (w Warszawie – w liceum dla pracujących – zatrudniony lipnie jako kościelny jednej z warszawskich parafii) maturę państwową (matura pół roku przed magisterium – geniusz!). Oczywiście gdy tylko wstąpiłem do Niższego Seminarium, czujna władza ludowa natychmiast odebrała mi, jako klerykalnemu (15-letniemu) wrogowi tak bardzo humanistycznego ustroju socjalistycznego, prawo do bezpłatnego leczenia i do zniżki kolejowej, mimo że byłem synem kolejarza. Rodzina była bardzo biedna, a dojazdy do Gorzowa (z dwiema przesiadkami) też były kosztowne. Pamiętam, że czasem koledzy seminaryjni robili dla mnie składkę na fryzjera.

Moje seminarium – to najpierw wychowawcy, profesorowie i koledzy. Ci ostatni rozproszyli się po Polsce, może i po świecie, do święceń kapłańskich dotrwali nieliczni; niektórych z nich wspominam serdecznie, zwłaszcza Edzia Chadaja, z którym łączyła mnie burzliwa przyjaźń chłopięca (zginął tajemniczo jako proboszcz – zamordowany). Wychowawcy to najpierw ks. Rektor Jan Wujda, który co rano męczył nas gimnastyką na podwórzu, prowadził naszą orkiestrę (grałem w niej nawet ja, niemający z muzyką nic wspólnego poza nazwiskiem) i siłą wrzucił mnie do basenu, dzięki czemu nauczyłem się pływać. Trochę mu sekretarzowałem (pisałem na maszynie listy) i bezskutecznie przekonywałem go, że po formule końcowej „Z serdecznymi pozdrowieniami” nie daje się wykrzyknika. Kochany ojciec duchowny ks. Wiktor Panecki pisywał do swoich byłych wychowanków, odwiedzał mnie w Świdwinie, Zgorzelcu i Warszawie, nawet wystąpił w filmie, który nakręcono z okazji 40-lecia moich święceń (zbliża się 50-lecie). Żyje tyl-

* Ks. prof. dr hab. M. Czajkowski, ur. 1934 w Chełmży w wielodzietnej rodzinie kolejarzkiej. Absolwent Niższego Seminarium Duchownego w Gorzowie. W 1953 r. wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Paradyżu, a następnie przeniósł się do Wrocławia. Święcenia kapłańskie przyjął w 1958. W 1961 podjął studia w Papieskim Instytucie Biblijnym w Rzymie. W 1966 uzyskał doktorat. Wykładowca Seminarium Duchownego we Wrocławiu. W 1995 r. otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Dorobek naukowy przekracza liczbę 1000 pozycji. Oskarżony o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa 11 lipca 2006 przyznał się do winy – był tajnym współpracownikiem (zob. miesięcznik „Więź” – lipiec 2006 i „Gazeta Wyborcza” nr 160 z 11 VII 2006).

ko nasz niezapomniany i nieśmiertelny prefekt ks. infułat Mieczysław Marszałik, prawie 90-latek pełen młodości. To „obsada” duchowna. A świeccy? Wielki nie tylko wzrostem pan Bolesław Kudelka, historyk, podobno przedwojenny wizytator szkół województwa poleskiego, i młodsza od niego małżonka Antonina, polonistka, której po powrocie z teatru poznańskiego zaśpiewaliśmy: „Dobrze, dobrze, panie bracie, przewyborny jest wasz plan, nie masz niewiast w naszej chacie, vivat semper wolny stan”. Ale prócz pani Kudelkowej była jeszcze inna niewiasta, która uczyła nas pięknego języka francuskiego: pani Jadwiga Komar. Polonistą był także pan Zbigniew Cierkoński; po wielu latach wzruszyłem się, gdy podszedł do mnie po jakiejś mojej konferencji w Gorzowie (też już nie żyje). Przez pewien czas dojeżdżał do nas z Uniwersytetu Poznańskiego młody łacinnik, który bezskutecznie oduczał nas „kościelnej” wymowy łaciny klasycznej (że np. imię „Caesar” należy wymawiać „Kajzar”, a nie „Cezar”). Ale jeszcze spotęgował moją miłość i znajomość tego języka; tłumaczenie najtrudniejszych zdań łacińskich przywożonych przez niego specjalnie dla mnie i dla kolegi (konkurencja) to była pasja i radość.

Innych naszych profesorów już nie pamiętam. Gdy jeden z nich podczas mojej nauki w Niższym Seminarium umarł („wykopyrtnął się” – jak on sam żartobliwie określał śmierć), napisałem serdeczne wspomnienie o nim do naszej gazetki. Nosiła ona chyba szczytny tytuł „KU szczytom” – i przez rok (po koledze Jasiu Jonaszu) byłem jej redaktorem naczelnym. Kiedyś chciałem umieścić w niej mój własny, jakżeż piękny wiersz; zaniósłem go (wraz z innymi materiałami) do cenzury ojcu Paneckiemu, nie podając nazwiska autora; do dziś pamiętam jego miażdżącą recenzję: „treść piękna, forma pancerna” (po latach opowiedziałem mu, jak radykalnie wyleczył mnie z uprawiania poezji). Mieliśmy szczęście, że – poza łacinnikiem – uczyli nas przedwojenni nauczyciele (dla których w szkołach państwowych nie było chyba miejsca) i że byliśmy całkowicie wolni od komunistycznej indoktrynacji. Pamiętam zaskoczenie państwowej komisji, kiedy (jako ksiądz, ale incognito) zdawałem historię na państwowym egzaminie maturalnym w Warszawie... Na szczęście nie musiałem zdawać na tej maturze matematyki, bo pewnie bym oblał (w dziesiątej klasie miałem z niej w Gorzowie poprawkę, a gratulując mi matury p. Kudelko, nie omieszkiał publicznie dodać, że komisja zaliczyła mi matematykę ex misericordia – z miłosierdzia).

Boże miłosierdzie towarzyszyło nam przez te spokojne lata seminaryjne, kiedy w Polsce szalała komunistyczna propaganda i przemoc. Każdego rana mieliśmy Mszę św., a wieczorem, po modlitwach, tzw. „słówko”: refleksję religijną któregoś z wychowawców (do dziś pamiętam przykład z owym cesarskim jeleniem z napisem: „Noli me tangere” – Nie dotykaj mnie). Naprzeciw była szkoła czy internat dla dziewcząt – może jako próba naszego powołania? Mieliśmy też dziewczęta i panie w kuchni i pralni; kiedyś z mego powodu wylały morze łez: grałem w seminaryjnym przedstawieniu bezdomnego i głodnego sierotę z warszawskiej ulicy, nad którym pochyla się z miłością XVIII-wieczny apostoł miłosierdzia ks. Garbiel Baudouin; ażeby płakał przy nim autentycznie, koledzy natarli mi rękaw marynarki cebulą, tak mocno, iż płakałem także przez następne dni. Bo miałem tylko jedną (połataną) marynarkę. Tę marynarkę mam na fotografii (osobnej) z prymasem Wyszyńskim, bo przedstawiono mnie jemu jako redaktora gazetki seminaryjnej – i zaprosił mnie do Gniezna. Niedawno wróciłem ze wspaniałego Zjazdu Gnieźnieńskiego; Boże, jakiś to potężny walec historii przetoczył się w ciągu tego ostatniego półwiecza XX stulecia przez Polskę i świat, i przez moje życie...